

Sylwester Dziki

DEOTYMA W KRAKOWIE I OKOLICACH

Jadwiga Łuszczewska (1834–1908) córka dyrektora Wydziału Przemysłu i Kunsztów w Komisji Rządowej Spraw Wewnętrznych Królestwa i słynnej z urody oraz z dowcipu córki gen. Żółtowskiego Magdaleny, częściej znana pod wymyślonym przez matkę pseudonimem Deotyma; rzadziej używała formy spolszczonej Bogobojna (tak podpisywała wiersze patriotyczne ogłaszane poza granicami Królestwa). Sławę w życiu towarzysko-literackim zyskała dzięki zdolnościom recytatorsko-improvizatorskim (na pamięć znała *Śpiewy historyczne* Niemcewicza), którymi popisywała się w salonie rodziców uważanym za najważniejszy ośrodek życia kulturalnego w międzypowstaniowej Warszawie. Edukację odbywała w domu pod kierunkiem rodziców. Wraz ze starszą siostrą Kazimierą redagowała w latach 1846–1849 rękopiśmienny miesięcznik „Pszczółka”. Wiele podróżowała z rodzicami po Europie (Bruksela, Berlin, Austria, Włochy), a zwłaszcza po polskich miejscowościach historycznych. Były to Gniezno, Kruszwica, Poznań, Malbork i inne. W latach 1863–1865 towarzyszyła ojcu na zesłaniu.

Po śmierci rodziców pod koniec lat 1860-tych założyła własny salon literacki. Czwartkowe wieczory nie odniosły takiego rozgłosu i znaczenia jak rodzicielski salon. Skupiały twórców starszej generacji, muzyków, pojawiali się nieliczni młodzi (m.in. daleki krewny Henryk Sienkiewicz, Artur Oppman). Więcej uwagi poświęcała własnej twórczości literackiej, którą zajmowała się od lat 1850-tych. Ale i tu nie odnosiła znaczących sukcesów. Publicznie zadebiutowała w 1852 r. wierszem *Krucjaty* („Dziennik Warszawski”, nr 325, lwowski „Dziennik Literacki”, nr 51). Jej *opus vitae* miała być nieukończona *Polska w pieśni*.

Portret Deotymy w następujący sposób skreślił Cz. Jankowski:

niskiego niż wysokiego wzrostu, wcale tęga, nie miała w postaci swej nic imponującego – oprócz nieskazitelnie dystyngowanego gestu, ostrego, bywało spojrzenia i... uroku wielkiego imienia. We czwartki miała nieodmiennie na sobie suknię aksamitną, czarną, gładką, z trenem; na pięknym biuście kolie z przepysznych szmaragdów, także szmaragdy w uszach; czarną koronkę na wysokim, z czoła uczesaniu.

Głosy krytyków na pisarskie wystąpienia Deotymy były mocno rozproszone. Wnikliwy badacz jej twórczości J. Bachórz napisał:

Określenie wieszczka, przylgnąwszy do niej, sprzyjało deformowaniu opinii krytycznoliterackich. Liczni apologeti, wśród których przeważali konserwatyści, bez umiaru i wyboru oklaskując każde zdanie pisarki, ułatwiali przeciwnikom i szydercom możliwość deprecjonowania jej osoby i dorobku. Łatwo było wykazać nadużycie formuły „wieszczka” i poddać je ironicznemu ośmieszeniu. I choć wobec chóru wielbicieli prześmiewców nie było wielu (bo część pisarzy z młodszych generacji po prostu nie interesowała się problemem Deotymy), to jednak ich głosy w miarę upływu czasu zyskiwały na znaczeniu, zwłaszcza że chwalcami stawiali się ludzie o coraz mniejszym autorytecie literackim.

Uznani krytycy (np. W. Feldman, J. Krzyżanowski) chcieli jej twórczość przekazać w niebyt. Nie całkiem to się im udało. W drugiej połowie XX stulecia – a więc w pięćdziesiąt lat po jej śmierci jeden z jej utworów – *Panienska z okienka* (z 1898 r.) doczekał się prawdziwego renesansu: 4 wydania, tłumaczenie na język włoski (1960), przeróbka (T. Paciorkiewicz) na operę (wystawiona w 1968 r.) i sfilmowana w 1964 r. (reżyser M. Kaniewska).

Wróćmy jednak do zasadniczego toku rozważań.

Pierwszy raz zobaczyła Kraków w 1843 r. przejazdem z rodzicami i siostrą do wód.

Zwiedziliśmy Kraków, naówczas jeszcze wolne miasto, widziałam Polaków niepodległych, widziałam Wawel, i te kościoły, i te groby, i tę całą rozrzewniającą „ruinę” przeszłości, jaką wówczas owo miasto przedstawiało. Zwiedziliśmy Wieliczkę; wrażenia jedyne – do śmierci niezatarte. Potem pierwszy raz w życiu jechałam koleją żelazną.

Podczas kolejnego pobytu w Karlsbadzie (Karlove Vary) w 1854 r. napotkali Franciszka Wężyka, już wcześniej zafascynowanego Deotymą, który zaprosił ich do Krakowa. W swym *Pamiętniku* zanotowała:

ów człowiek słynny ze złośliwości, gryzący wszystkich i wszystko, dla mnie jednej miał samą dobroć i wyrozumiałość. Oświadczył on nam serdecznie, że wszyscy ci krakowianie, którzy tak jak on myślą, chcieliby nas widzieć w swoich murach, ażeby gościnnym przyjęciem wynagrodzić niejako nieprzyjazną postawę kilku tamtejszych dziennikarzy. Nie godziło się odmówić tak miłych zaprosin, toteż drogę powrotną skierowaliśmy na Kraków i ten drugi w moim życiu pobyt pod Wawelem, choć tylko trzydniowy, stał mi się pamiętnym, tym więcej, że został jeszcze upamiętniony i książką Zygmunta Kaczkowskiego. Książka ta niezmiernie mi życzliwa.

Gościny obok Wężyka udzielił także biskup Ludwik Łętowski z niechęcią wyszukaną elegancją. Często padały takie określenia jak

„nadludzkie dziewczę”, porównywano ją ze starogrecką Korynną (autorka pieśni religijnych i miłosnych żyjąca w VI w. p.n.e.), prorokinią kumejską. A.E. Koźmiana zachwycała „młoda siedemnastoletnia dziewica cudownym biblijnym natchnieniem”.

Krakowskie dni szeroko relacjonował dla „Gazety Warszawskiej” Zygmunt Kaczkowski (*Deotyma w Krakowie*, Warszawa 1854 r.). W pałacu biskupim przedmiotem improwizacji na życzenie biskupa były *Góry* (które autorka zobaczyła dopiero w 1859 r. – *Góry Świętokrzyskie* i w rok później *Tatry*). Z. Kaczkowski zanotował:

Przez cały czas tej improwizacji bowiem byliśmy wszyscy tak siebie bezwiedni, pod głębokim wrażeniem tej silnej, potoczystej, brylantowej wymowy, że tylko nam się przesuwały przed wyobraźnią jakieś fantastyczne obrazy olbrzymich skalisk i gór, otwierały się przed nami nieprzebrane bogactwa ich wnętrza, malowały się kolejno jakieś wielkie historyczne zdarzenia dokonane u stóp ich albo na ich wyniosłych grzbietach i pokazywały się dalekie, mgliste, ledwie myślą doścignione widoki krajów, miast i pokoleń... a nad tym wszystkim brzmiały jakieś cudowne akordy co chwila się zmieniającej harmonii, jak gdybyśmy rzeczywiście stali na najwyższej iglicy Alp naszych i pochłonięci ogromem rozścielających się dokoła widoków, słuchali zarazem chóru harf anielskich, grających pieśń nadziemską nad naszymi głowami. Takie wrażenie sprawiła na nas pierwsza improwizacja poetki.

W kolejny wieczór (tym razem u F. Wężyka) treścią improwizacji (również z namowy biskupa) była miłość.

uczony prałat x. L.L. podniósł trzy myśli i mówił po kolei o próżności światowej sławy, o pokorze i miłości najwyższej. Z tych przedmiotów wybrała uważnie słuchająca poetka ostatni – a w pięć minut potem widzieliśmy ją już stojącą na środku salonu i wypowiadającą cały dialogowy poemat, w szczupłe wprowadzie ujęty ramy, ale przepełniony tak wzniosłymi myślami i obrazami, jakich nieraz na późno szukamy w księgach ogromnego rozmiaru, wysmażonych w przeciągach lat kilku lub więcej.

Dni te pozostały dla niej na długo miłą pamiątką, tym bardziej, że na zakończenie tej wizyty w towarzystwie rodziców i tutejszych uczonych zwiedziła świątynię nauki – bibliotekę uniwersytecką, która „rozświeciła jej całą przeszłość naukową”. Uniwersytetowi poświęciła również – z okazji 500-lecia odnowienia – poemat dramatyczny *Gloria tibi, Alma Mater* drukowany we lwowskim „Dzienniku Polskim” (1900, nr 115–118).

W *Pamiętniku* brak opisu wrażeń z Tatr – przedstawiła je dopiero na łamach „Gazety Warszawskiej” (1860, nr 339). Wrażenia napuszone wyszukaną erudycją wspieraną nawet refleksjami zaczerpniętymi z antyku, a także z romantycznej literatury zachodnioeuropejskiej:

Wyobraź sobie sto katedr kolońskich, skończonych i wykończonych, i mury wykuj z żywej skały, ich gotyckie słupy uwiąż z pni kilkowiekowych, ich przezroczyste rzeźby upleć ze strumieni [...] nad tymi ogrodami Semiramidy ustaw szczyty pozaokrągłane w dziwne kopuły i dziwniejsze banie, jakby indyjskie pagody [...] Czarny Dunajec jest to jeden z tych obłąkańców, jakimi był między ludźmi Hamlet: jego gniew się objawia cudami odwagi, jako obłąkanie zdradza się poezją.

Nie wiele z tych wywodów wynosi przeciętny czytelnik poszukujący opisu pięknej przyrody. Opis ten nie jest akceptowany również przez badaczy literatury. J. Kolbuszewski wręcz napisał:

Koncepcji Deotymy zarzucić przecież trzeba sztuczność i zbytnią literackość, przy jednoczesnym braku związku z realiami terenu. Przesadna pogoń za oryginalnością zgubiła słynną improwizatorkę... Wrażenia nie tylko nie dają topograficznie prawdziwego obrazu Tatr, nie tylko nie dostarczają prawdziwych pod względem etnograficznym i etnologicznym wiadomości o Góralach, lecz na dodatek okazują się dziełem zupełnie chybionym artystycznie.

Te same – lub podobne – uwagi zarzucić można innym utworom autorki. Podejmowała się trudu, któremu najczęściej nie mogła podołać (np. *Polska w pieśni*). Chlubnym wyjątkiem mogą być jedynie *Gonitwy w dolinie Prądnika* (pierwodruk w „Tygodniku Ilustrowanym”, 1869, nr 99–104), w którym gościła w 1859 r. Brak w tym poemacie udziwnień, które rażą w innych poematach.

W ostatniej dekadzie lutego 1881 r. na zaproszenie stańczyków przebywała w naszym mieście jako gospodyni balu, którego dochód przeznaczony był na budowę pomnika Adama Mickiewicza (gospodyni przywiozła do Krakowa blisko 6 tysięcy rubli zebranych przez siebie w Warszawie). Witana była entuzjastycznie przez konserwatystów. Upatrywano w niej narodową wieszczkę, najwybitniejszą – po Mickiewiczu – poetkę. Wspaniały bal 27 lutego w Hotelu Saskim rozpoczął się polonezem prowadzonym przez wieszczkę z marszałkiem krajowym Mikołajem Zybliekiewiczem. Następne dni wypełnione zostały rautami, balami w najprzedniejszych krakowskich domach – u prof. Zatheya, u księżnej Marceliny Czartoryskiej, u prof. Straszewskiego, Tarnowskich. Bal pożegnalny – najświetniejszy ze wszystkich – wydał wspomniany już M. Zybliekiewicz. Szczegółowe relacje zamieszczał „Czas”, wymieniał miejsca i osoby z którymi Deotyma rozmawiała. Dziennik konserwatystów, który pragnął z Parnasu strącić Asnyka, nazywał ją „znakomitą, genialną przedstawicielką poezji z epoki pomickiewiczowskiej”. W środowiskach twórczych szemrano na brak taktu i umiaru w fetowaniu gościa z Warszawy, co widocznie docierało do wieszczki. Stąd pobyt w Krakowie Deotyma skąpo, nader skąpo odnotowała w swym *Pamiętniku*:

jeździłam do Krakowa, gdzie zaproszono mnie jako jedną z gospodyń balu mickiewiczowskiego. Tam podjęłam się zbierania składek na pomnik Mickiewicza w Krakowie.

Dla gości w Sali Radnej czytała (deklamowała) *Rapsody o Chrobrym Królu*. Z uroczystości tych dworowało środowisko pozostające w opozycji do stańczyków, do pałacu przy Szlaku. W swoisty sposób witało ją ilustrowane czasopismo satyryczno-humorystyczne „Diabeł”. W numerze 4 czytamy:

Nie masz ci to, nie ma jako Deotyma;
Chociaż jest nieduża, za wielką się trzyma.
Jak się nie ma trzymać, kiedy czyta w „Czasie”,
Że jest teraz pierwsza na polskim Parnasie!
Oj, El...y, mój El...y, *lamma sabakhthani*,
Czemu nie w spódnicy chodzisz, jak ta pani,
Czemu tak bez pompy chodzisz i parady?
Dawano by dla cię, herbatki, obiady,
I marszałek nawet, w co też mocno wierzym,
Latałby za tobą jako kot z pęcherzem,
I „Czas” za marszałkiem, pismo także stare,
Przyznałby, żeś wyższy – choć o łokci parę.

W kłopotliwej sytuacji znaleźli się organizatorzy owych bankietów – „wyłapywali więc pismo po całym mieście, by broń Boże nie dotarło do jej rąk”.

Był to ostatni pobyt Deotymy w Krakowie, co bynajmniej nie oznacza by osłabło jej zafascynowanie grodem Kraka. Pracowała przecież od lat 1860-tych nad *Polską w pieśni* (ze względu na status miasta – dominowały wątki krakowskie), w której najważniejszą częścią była wielka trylogia pod trzema nazwami: *Krakus*, *Synowie Krakusa*, i *Wanda*. Przerabiała zastane przekazy utrwalone w legendzie o Wandzie, która nie chciała Niemca. Autorka odstępkuje od motywów germańskich. J. Bachórz (*Obraz literatury polskiej*. T. II: *Literatura krajowa w okresie romantyzmu*) tak interpretuje poprawioną wersję legendy: Książę rugijski Rytygier

nie jest tu krwawym Germanem, który dla zaspokojenia żądy czy zagarnięcia cudzej ziemi sieje trwogę i zniszczenie. Wręcz przeciwnie – jako szlachetny i rycerski wódz niemiecki zdobywa serce Chrobatów i Wandy, dotychczas odpornej na miłość. Lud rządzony przez amazonkę chętnie by przystał na władzę Rytygiera, bo rolniczemu plemieniu nadwiślańskiemu zaszczytowałby on rycerskość i dzielność (w tych cnotach Niemcy dalej niż Chrobaci postąpili). Jeśli nie spełni się życzenie Chrobatów, to nie ma w tym winy księcia, lecz fatalność losu: Wanda popełnia samobójstwo (Rytygier po jej śmierci także), bo swoją miłość do przybysza uznała za sprzeniewierzenie się dawnej przysiędze wyłącznej miłości do narodu.

Zafascynowana była postacią króla Sobieskiego, a zwłaszcza wiedeńską victorią. Zamierzonego poematu jednak nie ukończyła.

Po powrocie z Krakowa mocno ograniczyła podróże ze względów zdrowotnych; w ostatniej dekadzie XIX stulecia w ogóle nie opuszczała wręcz swego salonu. Żyła swym pisarstwem, a zwłaszcza czwartkowymi spotkaniami, które były głównie poświęcone jej własnej twórczości...

LITERATURA

- J. Bachórz, *Obraz literatury polskiej*. T. II: *Literatura krajowa w okresie romantyzmu 1831–1863*, Kraków 1988
- A. Biernacki, *Deotyma*, [w:] PSB, Kraków 1973, t. 18, s. 581–583
- P. Chmielowski, *Polska w pieśni Deotymy*, „Ateneum”, t. 1, 1887
- Deotyma, Pamiętnik 1834–1897*, Warszawa 1968
- J. Kolbuszewski, *Obraz Tatr w literaturze polskiej XIX w.*, Kraków 1971

SUMMARY

SylwesterDziki

DEOTYMA IN KRAKÓW AND VICINITY

Jadwiga Łuszczewska (1834-1908), better known under the pseudonym of Deotyma, stays in the awareness of generations as a great improviser. She was familiar with both poetry and prose. She was very successful among Kraków conservatives, according to whom she could easily compete with Mickiewicz. However, those opinions were ridiculed by the artists from rival literary groups. She dedicated several of her works to the Tatra Mountains as she often spent her time there, however, critics were disaffected with the bizarreness of her works. The pictures of the Tatras did not provide authentic ethnographic information with respect to the Highlanders and what is more, they turned out to be the unsuccessful artistic works.